

Jan Maciejewski: Sierpień. Salome

W tym zniesieniu podziałów, radosnej i wyzwalającej fraternizacji sierpniowych uczt było coś apokaliptycznego. Każde zbiory są przedsmakiem śmierci. Jabłonie, czereśnie, śliwy zakwitają tylko po to, żeby ich owoce mogły być zebrane. Łany zbóż rosą, wspinają się do nieba, by w odpowiednim momencie spotkać się z ostrzem kos. A ludzie rodzą się po to, żeby umrzeć. Dożynkowe zjednoczenie starego, wspaniałego świata było przedsmakiem uczyty, jaka czeka nas po tamtej stronie Nieba – pisze Jan Maciejewski.

Droga wiedzie wśród pól. Wytyczyła się sama, tysiące stóp są od lat posłuszne wskazanemu przez nią kierunkowi. Gdzieś na horyzoncie, po mojej prawej stronie wyrasta gmach pałacu. Kieruję się w jego stronę, ale po chwili zawracam. Już z daleka staje się jasne, że został opuszczony. Zaledwie przed paroma chwilami i nie na długo. Cisza jaka wokół niego panuje jest kompletna, ale jakoś radosna. To spokój święta, nie przeraźliwa, głucha i pusta cisza wygnania. Jego mieszkańcy musieli iść tą samą drogą ledwie parę godzin temu, za mniej więcej tyle samo będą ją przemierzać w drugą stronę. Ten pierwszy marsz był uroczysty, niecierpliwy, ale pełen pańskiej godności. Drugi będzie chwiejny, lekko zamroczony. Sługa podeprze się na panu, dziedziczka poda ramię pomywaczce. Po kilku godzinach, kiedy wstanie świt, zaczną znowu grać swoje role. Chwilowo jednak wszyscy puścili je w niepamięć, zapomnieli wyuczonych kwestii.

Docieram do wsi, tu ciszę przerywają leniwe pomruki sennych zwierząt. Odzywa się zdawkowe, wydobywające się bardziej z poczucia obowiązku niż rzeczywistego strachu czy złości, poszczekiwanie psa na widok nieznanego. Z nieba leje się sierpniowy żar, różny od lipcowego, o czerwcowym nie wspominając. Słońce wysyła teraz swoje promienie jak kobieta pocałunki w kierunku odjeżdżającego pociągiem mężczyzny. To ciepło pożegnania, żar rozdmuchiwany ciężkim westchnieniem. Rozstajemy się, któż może wiedzieć na jak długo. Spróbuj ogrzać się na zapas.

Z oddali dochodzi szum, pierwszy ludzki dźwięk od wielu godzin. Początkowo wydawał się elementem, składnikiem panującej ciszy, ale im dłużej kieruję się w jego stronę, tym mocniej się od niej odróżnia. Wybija na pierwszy plan. Po około stu krokach moje uszy odróżniają brzmienie instrumentów, zapamiętałe jęki strun, chwilę potem rytmiczne poklaskiwanie. Teraz słysząc też śmiechy i okrzyki. Dziwne, ale wydaje mi się, że to nawoływanie, że ci ludzie nie krzyczą do siebie nawzajem, ale do kogoś, kto jak ja zgubił drogę albo z innego powodu nie zdążył jeszcze do nich dołączyć. Ich zabawa będzie niepełna, nieswoja, jeśli nie pojawi się na niej każda żywa dusza w okolicy. Mijam zagajnik i wychodzę na łąkę. Z lewej strony jest zastawiona ciężkimi, dębowymi stołami. Przykryte białymi obrusami, zastawione po same brzegi. Stanowią jeden z boków kwadratu, w pozostałej części ułożonego z koców, na których leżą ciężko oddychający, zlni potem ludzie, poprzetykanych rzędami krzeseł i ław, zajętych przez staruszków. Moje przybycie zostało niezauważone, wszyscy wpatrują się roześmianymi oczyma w trwającą pośrodku zabawę. Starcy kiwają głowami, uśmiechają się wyrozumiale, postukają nogami w rytm muzyki. Młodzi zbierają siły. Wszystkie koszule są białe; wszyscy –

panowie, służba, chłopci bawią się wspólnie. Władcy ochoczo zeskakują z tronów, pokorni odważnie prowadzą w tańcu. Każdy się weseli. Skończyły się żniwa. Jest sierpień.

Był taki sierpień. Były ich setki, a nawet tysiące. W tym zniesieniu podziałów, radosnej i wyzwalającej fraternizacji sierpniowych uczt było coś apokaliptycznego. Każde zbiory są przedsmakiem śmierci. Jabłonie, czereśnie, śliwy zakwitają tylko po to, żeby ich owoce mogły być zebrane. Łany zbóż rosną, wspinają się do nieba, by w odpowiednim momencie spotkać się z ostrzem kos. A ludzie rodzą się po to, żeby umrzeć. Dożynkowe zjednoczenie starego, wspaniałego świata było przedsmakiem uczy, jaka czeka nas po tamtej stronie Nieba. Znikną wówczas różnice, stany i pozycje. Nie będziemy się rozpoznawać po nazwiskach, tylko po owocach. Jedni będą pszenicą, inni kąkolem – tylko ta jedna różnica będzie się naprawdę liczyła. Jedne miesiące mówią o wzrastaniu, inne o cierpliwości, strachu czy miłości. Sierpień jest osią, która nadaje temu odwiecznemu dwunastozgłoskowcowi rytm i sens. Opowiada bowiem o śmierci. Właśnie on, bujny i zapracowany, a nie melancholijny październik czy pogrążający się w ciemnościach grudzień. Rytm tamtego świata przygotowywał do rozstania z życiem, nie kojarząc tego momentu bynajmniej z wędnięciem czy przekwitaniem. Natura nie przyjmuje ludzkiego, lecz boski punkt widzenia. Patrzy i rozumie jak Ten, który zrywa owoc z drzewa. Szarpnięcie musi być gwałtowne, przez moment kołysze się cała gałąź, razem z owocem spada najczęściej kilka liści – to te, które rosły najbliżej. Falując, opadają powoli na ziemię; tak drzewo roni ły. Ale ten, który został zerwany jest już wtedy w drodze, od tej pory Gospodarz zabiera go do siebie. Maria Magdalena pomyliła zmartwychwstałego Chrystusa z ogrodnikiem i kto wie, czy aby nie miała wówczas sporo racji.

Właśnie dlatego Kościół obchodzi dokładnie w połowie tego śmiercionośnego miesiąca Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Dokładniej, bardziej wyczerpująco nie dało się już dopowiedzieć i wyjaśnić tego, co próbuje nam przekazać sierpień. Że śmierć nie jest końcem, tylko spełnieniem. Nie niekończąca się ciemność, ale wieczna uczta jest tym, co po niej następuje. Zgodnie z legendą, na miejscu, gdzie powinno znajdować się ciało Maryi, odnaleziono bukiet kwiatów. Jak wskazówka i ostatnie pouczenie dla nas, którzy jeszcze nie dojrzeliliśmy do śmierci, wciąż jeszcze tkwimy korzeniami w czarnej glebie tego świata.

Nazywając rzeczy po imieniu, nie można ułożyć bukietu z kwiatów, zanim się ich wcześniej nie zabije. Nie przerwie ich biologicznego życia, upartej i przemyślanej walki o przetrwanie, jaką toczą z wiecznie przeważającymi siłami wroga – pogodą, chwastami, stopami ludzi i zwierząt. Jak w „Inteligencji kwiatów” pisał Maurice Maeterlinck, „dla rośliny nie ulega żadnej kwestii, że najokrutniejszym jest konieczność trwania w jednym miejscu od urodzin do śmierci. Wydobyć się z fatalizmu, jakiemu podlega dół rośliny, przez rozwój górnych jej części, oto jej cel główny, bowiem idzie tu o obejście ciężkiego prawa mroków, wyzwolenie zeń, przekroczenie ciasnego obrębu, stworzenie sobie skrzydeł lub w pośredni sposób wydostanie się z więzienia natury jak najdalej w przestrzeń i zbliżenie się i zbliżenie się do innego, odmiennego zgoła królestwa ruchu i życia”. Zerwanie kwiatu jest początkiem ich właściwego losu. Nieskończenie bogatszego i ciekawszego od fatalizmu sił przyrody, na którego warunkach dotychczas walczyły one o „wydostanie się jak najdalej w przestrzeń” do odmiennego zgoła królestwa. Stają się częścią jednej z historii, której prowadząc swoją inteligentną walkę o życie nie mogły się nawet domyślać. Jakaś dłoń trzyma pewnie i czule ich łodygi, dookoła

gromadzą się towarzysze tej samej podróży, wspólnicy jednej sprawy. Miłości, przebaczenia, pożegnania – nie znają jeszcze tych słów, jak wszystkiego co będzie ich od teraz otaczać. Ruszają w świat. Skończyła się konieczność, zaczyna przygoda. Jeśli istnieje najważniejszy moment, by zacząć odmawiać modlitwę o dobrą śmierć, to właśnie w tym miesiącu.

Panie Boże, nie dopuść bym zgnił na mojej gałęzi. Strzeż mojego krzaka, żeby żaden podmuch wiatru nie zerwał mnie zanim dojrzeję. Spraw bym rósł cierpliwie i wytrwale. Byś kiedy weźmiesz mnie do ręki i włożysz do swych ust, nie musiał mnie wypluwać. Niech nie będę mdły ani cierpki w smaku. Ogrodniku, strzeż drzewa, które zasadziłeś. I przyjdź ze swym wiklinowym koszem o właściwej, Tobie tylko znanej, porze. W sierpniu mojego życia.

W miesiącu, który pod sam koniec, w święto ścięcia Jana Chrzciciela, wspomina jeszcze jedną ucztę.

We włosach maku kwiat, stopa wybija takt, cesarz za mój taniec, każde me żądanie wypełnić chce

Salome – nad miastem wstaje dzień, Salome – jak struna ciało twe, jak pnącze powoju, gdy w zwiewnym swym stroju dla władcy tańczysz...

*Salome – wciąż tańczysz jak we śnie, Salome – już widzów coraz mniej,
tylko rój komarów, dopija z pucharów ostatki wina.*

*Salome – pobladłaś, wargi drżą, Salome – goście odeszli stąd, w kątku
cicho siadasz, cień na oczy pada, Salome... płaczesz?*

Karel Kryl

- Hej, ty! Nie słyszysz, jak cię wołam? Ile mamy jeszcze czekać?
- Jeszcze chwila, mój panie, dosłownie moment. Właśnie od niej wracam, powiedziała, że jeszcze nie jest gotowa. Co my z nią mamy, to tylko ja wiem. Ale warto trochę zaczekać, przysięgam na wszystkich bogów, będzie na co popatrzeć. Gdyby na to nie zasługiwała, już dawno bym ją zwolnił.
- Uważaj, jak nalewasz! Ochlapałeś mi stopy, idioto. Daję ci pół godziny, potem zabieram chłopców i wychodzimy. I masz moje słowo – już więcej nie wrócimy do tej speluny, a moja centuria będzie tu stacjonować do zimy. Przelicz sobie szybko, ile będą cię kosztować fochy twojej bachantki i powiedz jej parę słów do słuchu. Idź już. Nie, wino ma zostać.

Jesień zaczyna się wieczorem. Zwłaszcza tutaj, gdzie w ciągu dnia upał nie daje chwili wytchnienia, w sierpniowe południa lato znajduje się wciąż w swej pełni, ale po zachodzie słońca zmienia się nie tylko pora dnia, roku również. Żołnierze zarzucają na ramiona płaszcze, kupcy

sprzątają pospiesznie swoje kramy, matki kładą dzieci wcześniej do łóżek. A tancerki? Z nimi koniec lata obchodzi się najokrutniej. Chłód ciągnie od nagich stóp, cienki, usiany liśćmi mandragory materiał, z którego uszyte są ich szarawary nie jest w stanie go powstrzymać. Biodra pokrywa gęsia skórka, drżą pokryte jedwabnym welonem ramiona i piersi. Salome nienawidziła sierpniowych wieczorów. Zwłaszcza takich jak ten, kiedy podmuchy ciągnącego od pustyni wiatru potęgowały uczucie chłodu.

Najgorsza była jednak świadomość, że nie tylko jej jest zimno. Tym, których rozgrzać ma jej taniec również. Punkt wyjścia, pozycja, z której startowała była obniżona. Najbardziej dotkliwy był chłód, jaki płynął do niej z ich oczu i ciał. W czasie występu nawiązuje się między nią a publicznością niewidzialna, ale potężna nić. Esencją tego zawodu, kluczem do odniesienia w nim sukcesu było jej dostrzeżenie i wyczucie. Albo chociaż wyobrażenie jej sobie, opasanie się nią w pasie i ramionach, zmrużenie oczu i tańczenie tak, jakby każdy jej ruch odnajdywał partnera. Dawała się prowadzić burzącej się w żyłach krwi otaczających ją mężczyźni. Nigdy przecież nie tańczy się samemu, to sztuka, która bardziej niż muzyki potrzebuje, karmi się obecnością tego drugiego.

Nie rozumiała tego, kiedy była młodsza, gdy taniec był jeszcze zabawą, dziecięcą igraszką. Nie czuła, bo nie musiała, tego co jej ruchy wyprawiają z wyobraźnią widzów. Bawiła się swoim ciałem, nie analizowała kroków, myliła je co chwilę. Ale każde potknięcie potęgowało tylko końcowy efekt, naturalna nieporadność sprawiała, że taniec stawał się tym, czym być powinien. Muzyką ciała, przedłużeniem dźwięków, rozłożeniem ich na takty skinieć, kroków i obrotów. Dźwięki przenikały przez jej skórę, sięgały do szpiku kości i sprawiały, że robiło

jej się ciemno przed oczami. Nie musiała ich zamykać, by wpaść w trans. Zamroczenie, które wydawało jej się dużo trzeźwiejsze od stanu, w jakim znajdowała się za dnia. Kiedy zaprzętały ją codzienne sprawy, napomnienia matki, sugestie otoczenia. Słuchała ich jednym uchem, docierały do niej z oddali, zupełnie inaczej niż muzyka. Ta szeptała do niej z bliska, podpowiadała co trzeba robić, na jaki ruch się zdecydować. Kiedy była dzieckiem, wystarczyło, że słuchała. Nauczyła się tańczyć, dopiero gdy zaczęła być kobietą. Ciemność przed jej oczami najpierw zrzędała, a potem zupełnie się rozproszyła. Już nie dźwięki, tylko spojrzenia dyktowały jej kroki. Wieczory przestały być drzwiami do innego świata, stały się naturalną konsekwencją dni. Tak samo jej taniec, wzmacniał tylko i podkreślał realia jej życia. Kiedy chodziła, rozmawiała, jadła czuła jedynie, że nie staje się coraz młodsza. W tańcu docierało do niej, że się starzeje.

Nie mogła dopuścić, by ta tajemnica się wydała. Zaczęła więc ćwiczyć, trzymać dietę, poddawała swe ciało rygorowi, jakiego nie mogłaby sobie wyobrazić w czasach swojej młodości. Dzięki temu ruchy bioder zachowywały płynność. Stopy stawały pewnie na swoich miejscach. Ręce, tak samo skutecznie jak dawniej, przyzywały i odtrącały niewidzialnego partnera, złożonego z dziesiątek śledzących każdy jej ruch spojrzeń i intencji. Była gotowa do wypełnienia swojego zadania. Stała się znaną w całej okolicy profesjonalistką. W przedsięwzięciu handlowym, jakim była winiarnia dobiegającego pięćdziesiątki, łąsającego Szymona jej udział stanowił największy wydatek. Ale zapewniał też przy okazji najwyższe zyski. Jej ciało nie było już może tak ślepo posłuszne muzyce, ale za to doskonale rymowało się z winem. Miała też coś jeszcze. Sekret, bez którego cały jej wysiłek zatrzymania czasu byłby skazany na porażkę. Gdyby mogła wspominać samą młodość dawno popadłaby w zgorzknienie. Nie tylko o niej jednak pamiętała. W jej pamięci wciąż żywa była chwila triumfu. Pożądanie

przemija, rozplywa się w powietrzu, kiedy tylko zostaje zaspokojone. Silniejsza, trwalsza dużo od niego jest śmierć. Nie brakuje tancerek, które wzbudzają pragnienie ich ciał. Ale Salome nie spotkała jeszcze nigdy takiej, która byłaby w stanie wzbudzić żądzę czyjejs śmierci.

Trzymała w pamięci tamtą chwilę jak amulet. Nie wiedziała, do teraz nie wie kim był tamten człowiek. Wystarczała jej świadomość, że był kimś ważnym. Trochę strasznym i niebezpiecznym; a jednocześnie na tyle w tej swojej grozie pięknym, że bano się go usunąć. Tylko tyle zdradziła jej matka, udzielając instrukcji przed tamtym występem. Miała zapamiętać tylko jedno zdanie. Kiedy nadeszła jej chwila, coś jednak stanęło jej w gardle. Jakby groza słów, które miała wypowiedzieć była czymś obiektywnym, niezależnym od tego, że dla niej samej znaczyły tyle, co podmuch wiatru. Kiedy zaczyna wątpić w swoją siłę przywołuje to zdanie na prawach zaklęcia. Wciąż nie rozumiejąc co oznaczało, dlaczego zostało wypowiedziane. Chłoneła tylko jego groźną siłę, ogrzewała swoje starzejące się, marznące wieczorami ciało w jego ciepłe.

Ponaglona przez przestraszonego i rozjuszonego jej ociąganiem się Szymona musiała wejść do sali. Czowała, że nie jest jeszcze gotowa. Na moment przed pierwszymi dźwiękami melodii powtórzyła więc tamtą kwestię. Tak samo jak wówczas, na ostatnim wdechu przed początkiem występu, w przedtacie melodii. Wtedy, żeby przypadkiem nie zapomnieć, teraz – by wciąż pamiętać. „Daj mi na misie głowę Iaokananna”.

Wkroczyła w rytmie grzechotek, przy akompaniamencie zawodzącego fletu. W winiarni momentalnie zapadła cisza, żołnierze wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy. Dowódca centurii, niecierpliwy Flawiusz Sewer, rozparł się w fotelu, zarzucił lewą nogę na prawą, odruchowo stukając stopą w rytm muzyki. Ten sam, któremu ślepo posłuszne były kroki Salome. Jedna stopa stawała tuż przed drugą, po paru krokach trzeba było jednak zrobić obrót – nie było tu tyle miejsca, co w pałacu Antypasa. Ale robiła to już tak wiele razy, potrafiła wpleść wszystkie ograniczenia, każdą niedoskonałość miejsca i nastroju, jaki w nim panował do swojego programu. Jej obroty były powłóczyste, wydawały się niechętne, jakby chciała jednak wejść między widzów i dopiero w ostatniej chwili się rozmyślała. Mała przestrzeń sprzyjała również roztaczaniu zapachu – mieszanki cynamonu i galbanum, jaką nacierała przed występem zgięcia ramion, nadgarstki i szyję. Zorientowała się też dość szybko, że na patrzących na nią mężczyzn dobrze działa wrażenie, że jest przez nich otoczona, zamknięta w uformowanej przez nich klatce. Starła się robić wrażenie, że próbuje uciec, ale nie może odnaleźć właściwej drogi, na pewnym etapie melodii świadomie myliła rytm kroków, przybierała histeryczny wyraz twarzy. Sugerujący, że dotarło do niej właśnie, iż wcale nie chce tu być. Wolałaby się cofnąć, zawrócić. Zostać przykładną żoną i matką, późnymi wieczorami sprzątającą przed domem w grubym pledzie zarzuconym na ramiona, a nie tańczącą wśród podpitych mężczyzn w przezroczyściej chuście z jedwabiu.

Rozpusta staje się nudna, jeśli jest konsekwentna. Potrzebuje skromności i wyrzutów sumienia, jak jedzenie przyprawy. Gdy była dzieckiem, sól jej występów stanowiła naiwność. Obok pożądania, taniec wzbudzał też w patrzących poczucie, że należy się nią zaopiekować. Teraz, każdym swoim ruchem zdawała się prosić o

ratunek. Ciało Salome wzdychało w objęciach jakiegoś wciąż wymykającego się jej objęciom boga. A ten przyciągał ją do siebie, pieścił, po czym rzucał na ziemię. Unosiła się tak naturalnie, jakby to nie jej mięśnie i ścięgna przygotowane były do wykonania tego ruchu, ale jeden z żołnierzy nie wytrzymał napięcia i podbiegł, aby ją podnieść.

Wiedziała, czuła to w mrowieniu rozchodzącym się wzdłuż karku, że to jeden z tych lepszych wieczorów. Patrzyli na nią żołnierze, a nie zwykli pijacy czy kupcy. Każdy z tych krótkich, ostrych mieczy, z jakimi nie wolno było im się rozstać nawet wieczorem, zanurzył się w niejednym ciele. Każda śmierć zostawia na twarzy tego, który ją zadał ślad. Odbłysek przerażenia i nienawiści ich ofiary. Twarze jej dzisiejszej publiczności były przeorane i okrzepłe w przelanej przez żołnierzy krwi. Tańczyła jak kwiat targany burzą, jak dusza błądząca w poszukiwaniu ciała. Wydawało się, że za chwilę wyrwie się z ciasnej, kilkumetrowej gleby sceny i odleci. Kilku żołnierzy odruchowo sięgnęło do rękojeści mieczy. To ja, ja zetnę ten kwiat, będę pierwszy i jedyny. Zaciągnę się jego zapachem, schwytam go z nienawiścią i czcią, jak wszystko, co piękne i co mija. Zrzucę go z wysokiej skarpy albo wrzucę do morza, żeby nie usechł. Niech uniosą go fale i zabiorą na nieznane lądy.

Salome nieomal słyszała ich myśli. Odbierała drgania powietrza, jakie wywoływały, ale tłumaczyła je na swój język. Język swojego zwycięstwa sprzed wielu lat.

Tłum wył, faryzeusze z obrzydzeniem i trudem odwracali twarze, rzymskim urzędnikom drgały nozdrza, a Antypas padał na kolana i zawodził, jak dziecko, które zgubiło matkę. „Chodź! Chodź! Kafarnaum będzie twoje! I dolina Tyberiady! Oddam ci moje zamki! Dostaniesz pół królestwa! Tylko chodź już tu wreszcie”. Błagał, nie rozkazywał. To ona wydawała polecenia. Daj mi na misie...

Rozległy się oklaski i wiwaty. Wróciła z pałacu i przeszłości. Tylko Flawiusz siedział wciąż nieruchomo, przez cały występ w tej samej pozycji. Patrzył na nią badawczo, próbując rozgryźć. Oglądał w ten sposób przesłuchiwaną, oceniając jak długo wytrzymają, ile rodzajów bólu musi im zadać, by przyznali się i powiedzieli mu o tym, co wiedział już i tak wcześniej. W ich cierpieniu szukał tylko potwierdzenia. U niej też je znajdzie. Podniósł się ze swojego miejsca, żołnierze momentalnie zamilkli. Podeszedł do Salome na odległość wyciągnięcia ręki i zmierzył ją wzrokiem od stóp do czubka głowy. Wydał rozkaz. „Chodź”.

Sierpniowe poranki bywają jeszcze chłodniejsze od wieczorów. Dzień potrzebuje kilku godzin, by przypomnieć sobie, że to jeszcze nie jesień. Słońce musi zebrać się w sobie, mimo zmęczenia, wysiłku tych wszystkich gorących letnich godzin, jakie ma za sobą, wykrzesać z siebie jeszcze trochę ciepła. Dzień dopiero co wstał, kiedy na poddaszu winiarni Flawiusz Sewer zakładał swój mundur. Patrzył przy tym na leżące tuż obok, nieruchome ciało Salome. Mimo wszystko ta noc okazała się rozczarowaniem. W łóżku nie była tak profesjonalna jak na scenie. Albo właśnie wystudiowana pewność ruchów była tym, co tak go raziło. Teraz, kiedy była zwinięta pod grubym, ciepłym kocem nie było tego widać, ale nocą, w ciemności jego palce wyczuły pierwsze objawy starzenia. To, co zamaskować były w stanie muzyka i zapach,

wychodziło na jaw pod ciężarem dotyku. Bliskość jest najszczerzym ze świadków. Najbardziej bezlitosnym badaczem. Patrzył na jej rozchylone nieprzytomnie usta, rozścielające się wokół twarzy pukle czarnych włosów. Pokrytych farbą, to jasne, ich ciemność była nienaturalnie głęboka. Nie wiedział, czego jej brakuje, bo przecież nawet te słabostki i niedoskonałości mogły się stać przepustką do jakiegoś krótkiego, trwającego mniej więcej tyle, ile okres jego stacjonowania w okolicy zadurzenia. Tak, starczyłoby w niej uroku do zimy. A tu jeszcze nie zaczęła się jesień, a ona już mu się znudziła. Zobacz ją jeszcze, przyjdzie tu w wieczór przed wyjazdem, może nostalgia roznieci w nim dogasającą iskrę.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego rozespanym, niewidzącym wzrokiem. Kąciki ust rozchyliły się w nieprzytomnym uśmiechu. Zaczęła coś szeptać, ale Flawiusz nie miał ochoty tego słuchać. „Ile?” zapytał rzeczowym tonem uczciwego kontrahenta. Usta Salome rozchyliły się w uśmiechu zwycięzcy, jej wzrok zakryła szara mgła. Nie przestawała szeptać. Do Flawiusza dotarło, że kobieta wciąż śpi.

Powtórzył więc głośniej: „Ile?”

– „Głowę IaoKANanna” – odpowiedział mu chrapliwy szept.

Legionista stracił cierpliwość. Wrzucił do miedzianego półmiska garść denarów. Zabrzęczały jak uderzenie w cymbał. Salome przetarła oczy. Nie będzie już spała.

Jan Maciejewski